

PODRÓŻ

ANDRZEJ C. LESZCZYŃSKI

„Wędrowiec, który wyrusza w prawdziwą podróż, zabiera ze sobą jedynie to, co najniezbędniejsze. Szczoteczka do zębów, bieliznę na zmianę, i ludzką duszę.”
Sandor Marai

Symbolika

Ogarnąć bogactwo sensów zawartych w symbolice podróżowania, to rzecz niewyobrażalna. Symbol „daje do myślenia” (Paul Ricoeur) – zaznacza ledwie ślad czegoś, co trzeba dopiero „do-myśleć”. Mówi o tym samo słowo: *symbolleien* znaczy tyle, co rzucać, zbierać razem; *symbolon* to przełamana na pół tabliczka z metalu albo kamienia. Trochę podobnie jak w alegorii (*allegorein* – wskazywać obrazowo na „coś więcej”), w symbolu ukryta jest idea syntezy, wnioskowania, wydobywania i odzyskiwania. „Z prawdziwą symboliką mamy do czynienia tam – pisał Johann Wolfgang Goethe – gdzie jakiś szczegół oznacza coś ogólnego, ale nie na wzór marzenia sennego lub cienia, lecz jako żywe, oczyma postrzegalne objawienie czegoś, co jest niezbadane”.

Symbol znajduje wyraz nie w *logosie*, nie dostarcza pojęć i teoretycznej wiedzy. Odsłania „pewne strony rzeczywistości – najgłębsze – które opierają się wszelkim innym środkom poznania” (Mircea Eliade). Wyrasta z *mythosu*, buduje obraz wskazujący mądrość i egzystencjalny sens. Św. Tomasz z Akwinu mówi w tym kontekście o praobrazie, od którego pochodzą wszystkie inne obrazy. Johann Wolfgang Goethe: „Symbol zamienia zjawisko w ideę, a ideę w obraz, i to w taki sposób, żeby idea zawarta w obrazie była nieskończenie żywotna i nieosiągalna, i nawet wypowiedziana we wszystkich językach, pozostała niewypowiedziana”. Smutkiem może napaść fakt, że dzisiejsza ikonosfera obejmuje raczej banalne „obrazki”, niż dające do myślenia obrazy. Obrazki te pokazują co najwyżej *positum* (to, co dane bezpośrednio), ograniczają się do powierzchni i zjawisk pełniących funkcje użytkowe (informacja, reklama, rozrywka, ideologia polityczna, itp.).

Dom

Co można odzyskać, „domysłając” obraz podróżowania? Jeden z najwybitniejszych badaczy symboli, Carl Gustav Jung, odnosi podróż do tego, co pierwotne i bezpieczne – do Raju, Domu, Matki. Początkiem podróżowania jest *exodus* – wyjście, opuszczenie (grzech, przecięcie pępownicy) i wywołane przez nie pragnienie powrotu. Podróż zaczyna się od wyobcowania i jest peregrynacją (*peregrinus* – obcy) do miejsca utraconego. Archetyp podróży, to wychodzenie z Labiryntu i zmierzanie ku Centrum.

Niezwykle ważne jest w tym wypadku pojęcie domu. Najprostsze intuicje językowe każą odróżnić dom od mieszkania: dom jest duchowy, mieszkanie materialne. Dom, pisał Wiktor Woroszyński, to nie „kaloryfer, ściana z obrazem”. To miejsce, „gdzie choćby pod gołym niebem ludzie są razem”. Duchowość domu jest ręką jego

niezmienności. Niszczącej i wymagającej remontu materialne elementy mieszkania – w domu niezmiennicze pozostają relacje między ludźmi, którzy go tworzą. Jeśli, dorosły, po latach nieobecności, powstrzymuje się od zapalenia papierosa, bo jest obok matka, znaczy to, że wróciłem do domu.

Zadomowienie wyraża najbardziej podstawowe z ludzkich potrzeb, pragnienie bezpieczeństwa, bliskości i trwałości. Przełamania opozycji między materialnością mieszkania i duchowością domu szukano zazwyczaj w fizycznej pracy, której rytm jednoczył pracowników (sporo ważnych zdań na ten temat można znaleźć w „Siekierzadzie” Edwarda Stachury). Budując wspólnie mieszkanie (szałas, barak, urządzając jaskinię) – tworzone jednocześnie dom. Stał się przestrzenią oswojoną, własną – siedliskiem, miejscem rodzenia się i umierania, gniazdem. Miejscem, które czeka. Joachim du Bellay („Sonet 31”): „Szczęśliwy, kto jak Odys, po pięknej podróży./ Lub jak ten, co zdobył kiedyś Złote Runo/ I doświadczenia pełny, do domu dofrunął./ Żeby wśród swoich resztę swego życia zużyć. (...)”. Można odnieść wrażenie, że zadomowienie nabiera szczególnego znaczenia w tradycji polskiej. Tutaj – inaczej, niż ma to na przykład miejsce w zwyczajach amerykańskich, gdzie bezbolesną normą jest wielokrotne zmienianie miejsca pracy i miejsca zamieszkania – kulturowane jest wciąż zakorzenienie oparte na trwałości jednego tylko, pierwszego domu. Podróż w tym wypadku, to wciąż ponawiana pielgrzymka do grobów, zaścianków i wspomnień. Prawdziwy wyjazd odczuwany byłby jako zsyłka.

Dom stanowi trwałą punkt określający kierunki podróżowania. „Wszystkie drogi człowieka przez świat – pisze Józef Tischner – mierzą się odległością od domu”. Punkt ten nadaje sens pojęciom wyjazdu i powrotu. Gustave Flaubert: „Wyjechał. Doświadczył melancholii podróży okretem, chłodu poranków pod namiotem, oszołomienia przyrodą, ruinami, gorzycy rozstań. Powrócić”. Dante Alighieri mówi o nauce, jaką płynię z wyjazdu: dopiero wtedy, gdy opuścisz dom, zobaczysz co znaczy „(...) przy obcych modlić się ołtarzach, jeść cudzy chleb”. Czym jest dom, zaczynam pojmować dopiero wtedy, gdy pojawia się coraz bardziej natrętne słowo „był”. Rodzi się potrzeba powrotu. Powrót jest jednak – przynajmniej dla świadomości ukształtowanej w zachodnim kręgu kulturowym – niemożliwy. Czas człowieka Zachodu, to czas określony przez linearność i nieodwracalność (jednokierunkowość). Świadomość takiego czasu jest niczym innym, jak świadomością nieuchronnego przemijania. Tutaj „nie dwa razy się nie zdarza”, nie można wejść „dwa razy do tej samej rzeki”. Cokolwiek jest – jest tylko raz (stąd rozpaczliwe pragnienie zachowania chwili, wyra-



żone w horacjańskim „carpe diem”).

Każdy wyjazd jest wyjazdem ostatecznym. Jest migracją – a migrant wędruje „bezpowrotnie” (Natasza Goerke). Miejsce opuszczone jest – jak świat dzieciństwa – miejscem bezpowrotnie utraconym. Dlatego właśnie dom zyskuje kształt Raju, którego obraz dominuje w mitach „wiecznego powrotu”.

Transgresja. Nadzieja. Okno

Blaise Cendrars: „Kiedy kochasz musisz wyjechać/ Opuścić żonę opuścić dziecko/ Opuścić przyjaciela opuścić przyjaciółkę/ Opuścić kochankę opuścić kochanka/ Kiedy kochasz musisz wyjechać (...)” (tłum. Kazimierz Brakoniecki). Potrzebie zadomowienia, by została w pełni zaspokojona, musi towarzyszyć równie silna potrzeba wykorzenia – wykroczenia poza to, co oswojone, poznane, własne. Dopiero urzeczywistnienie drugiej potrzeby potrzeby pozwala rozpoznać właściwy sens pierwszej. Istota zadomowienia zyskuje samowiedzę swego stanu dzięki naiwności pomieszanej z pychą, które każą dążyć do tego, co znajduje się poza domem. Człowiek jest natury pielgrzymiej, pisał Cyprian Kamil Norwid. Jako *homo transgressivus* musi za wszelką cenę uwolnić się, przeistoczyć, być poza zasięgiem. Musi, jak określał to Antoni Kępiński, przetrwać siebie, coś w sobie zachować i jednocześnie coś zniszczyć. André Breton wskazywał na znaczenie („najplodniejszego z możliwych”) poczucia, że coś wymknęło się z rąk, poczucia wykołajenia. Tylko dzięki niemu człowiek realizuje swoją nadzieję – i czyjaś obietnicę. Obietnicę usłyszał Abraham w słowach Boga: „Wyjdź z twojej ziemi rodzinnej i z domu twego ojca do kraju, który ci ukazę. Uczynię bowiem z ciebie wielki naród, będę ci błogosławił i twoje imię rozstawię; staniesz się błogosławieństwem”. Nigdy bodaj poszukiwanie swojej (obiecanej) ziemi nie trwało tak długo, jak w przypadku żydowskiego galatu i diaspor.

Zdaniem niektórych żydowskich badaczy Pisma ma tak być aż do przyjścia Mesjasza. Jeszcze nie skończyła się tułaczka, zbyt wcześnie powstało państwo Izrael.

Nadzieja – ta „dziwka w zielonej sukience”, jak pisał o niej Blaise Cendrars – ujawnia nienasyconie rzeczywistości daną w egzystencjalnym doświadczeniu. Kiedy się pojawi, realność traci jakąkolwiek szansę. Zastępuje ją odtąd stan wyobrażony, który jest przedmiotem oczekiwania i wiary. Dla Józefa Tischnera symbolem człowieka przenikniętego nadzieją jest pielgrzym, „(...) ten, który dzięki nadziei czyni właściwy użytek z przestrzeni. Przede wszystkim więc podąża on ku jakiejś przyszłości”. Tischner mówi też o „ludziach z kryjówek”, którzy – przesiąknięci lękiem i nieufnością – chronią się przed światem w przestrzeniach zamkniętych (domach). To świadectwo upadku, bo przecież poza kryjówką „rozpościera się przestrzeń możliwych obcować z drugimi”.

Transgresja jest przekraczaniem horyzontu – czegoś nie do przekroczenia, co wciąż przed oczami wyrasta, gdy „za jedną siłą dała – druga dała” i gdy wciąż jest odczuwany „nienasycony w sercu głód” (Agnieszka Osiecka). Życie jest gdzie indziej, pisał Milan Kundera; w gruncie rzeczy wszystko jest gdzie indziej. Doznanie nieograniczoności i bezmiaru, pragnienie związku z całością to stany, które Zygmunt Freud opisywał jako uczucia oceaniczne. – Co jest za lasem, za górą, za morzem, za granicą kraju, za granicą kontynentu, Ziemi, rzeczywistości, życia?

Dom zamyka i zakorzenia, ma jednak okna, które symbolizują tęsknotę za przestrzenią otwartą, mówią, że dom to jeszcze nie wszystko, kuszą i zachęcają do podróży. Okno jest otworem, wyłomem w logice muru, wnika przez nie do wnętrza to, przed czym chroni ściana, przede wszystkim światło. Okrągłe okna romańskie i gotyckie symbolizowały krąg niebieski, wnikało przez nie słońce zbawienia (*sol*

salutis). Okno jest „oknem na świat”, widzeniem rzeczywistości: Alexander Brückner wywodzi to słowo od oka. Symbolizuje wolność, którą przekreślają kraty w oknach więziennych.

Droga jako cel

Potoczne rozumienie drogi widzi w niej środek pozwalający osiągnąć zamierzony wcześniej cel. Sama w sobie droga nie ma znaczenia, jest „po coś”. Ma prowadzić ku czemuś, co uzasadnia jej przydatność i czyni z niej wartość instrumentalną. Traktując drogę w taki sposób staram się pokonać ją jak najszybciej, chcę mieć ją za sobą – nie: przed sobą, czy choćby obok siebie. Jest uciążliwością, dzięki której osiągnę właściwy, jedynie liczący się przedmiot dążenia (*per aspera ad astra*).

Zdarza się, że podążając drogą ku jakiemuś celowi coraz mniejszą uwagę jemu poświęcam, a coraz częściej myślę o tym, czego właśnie doświadczam, co odczuwam w związku z mijanymi (coraz wolniej) widokami, pojawiającymi się (coraz wyraźniej) zapachami i dźwiękami. W wielu wypowiedziach biegaczy długodystansowych powtarza się podobny wątek: gdy podczas treningu osiągną szczególnie rytm scalający ciało, ruch i podłoże, przestają liczyć czas i ilość okrążeń. Wiedzą wtedy, że – jak Forrest Gump – mogliby biec w nieskończoność, czy raczej: mogłoby się tak biec w nieskończoność. Dla wielu twórców teatralnych etiuda jest ważniejsza od spektaklu. Wielu malarzy szkicuje wciąż coś, co nigdy nie nabierze ostatecznego kształtu. Warte namysłu są słowa Julii Hartwig: „Same szkice. Do portretu daleko. Spokojna niecierpliwość i oczekiwanie. Nic mi nie szkodzi nie obejrzeć filmu do końca, nie doczekać reszty opowieści, nie poznać pointy”. Oto wartość instrumentalna nabiera cech autotelicznych, droga do celu sama staje się celem. Kto w taki sposób pojmuje drogę, jest podróżnikiem w ścisłym sensie (*homo viator*). →